

PRZECZYTAŁEM...

W CHWILI WYTCHNIENIA

Stanisław Mancewicz

GAZETA WYBORCZA, 24 XII 2010

Parę dni temu kolejarze w przepięknym świątecznym liście, opublikowanym w prasie, przeprosili pasażerów. Jest im przykro, że pociągi nie jeżdżą punktualnie. Kolejarze mają świadomość, że „nawet najgłośniejsze wypowiedziane słowo przepraszam nie zrekompensuje stresu i trudów”. Bardzo to wszystko szczerze brzmi, a gdyby ktoś miał wątpliwości, koniec listu te wątpliwości rozwiewa. Kolejarze wyrażają nadzieję, że mimo wszystko ludzie będą podróżować koleją i że: „czas spędzony w pociągu będzie chwilą wytchnienia przed spotkaniem w gronie rodziny”. Ta „chwila wytchnienia” wstrząsa rozmiarem eufemizmu, bo przecież ludzie siedzą w pociągach nie „chwile”, a godzinami, w zimnym zasmrodzeniu i przyklepieniu, w grubym łęku przed pójściem do toalety. A jednak w tym wszystkim znajdujemy słowa jakoś prawdziwe i przekonujące, gdy czytamy sobie na głos o „wytchnieniu przed spotkaniem w gronie rodziny”. Przed spotkaniem z rodziną każdemu należy się chwila zadumy i wyciszenia. Zatem tym bardziej żal mas do polskich kolejarzy jest uzasadniony, że oto kolejarze miast koić i tę intymną chwilę jakoś humanitarnie zorganizować, mrożą, przyklepiają i zasmradzają. Żal. Wiadomo wszakże, co rodzina potrafi zrobić z człowiekiem. Gabinety psychiatrów i toksykologów, ba! komisariaty i kostnice wypełniają się po świętach pacjentami.

Zanim więc wsiądziemy do pociągu, zanim udamy się w podróż przypominającą okolicznościami piękną i pouczającą nowelę Marka Twaina pt. „Ludożerstwo w wagonach”, kupmy sobie, by oderwać się i odlecieć, ostatni tom Polskiego Słownika Biograficznego. Nie kosztuje wiele, a wiele daje. Jestem przekonany, że jego treść zamaże i zagłuszy, nasyci i napoi, a wreszcie stłucze wam – jak mawia Lech Wałęsa – termometr, od siebie dodam, że i zegarek. Uzbroi was w cechy konieczne do bezbolesnego przemieszczania się kolejami spółek PKP oraz uodporni na mądrości i wzruszenia płynące z wszelkich listów otwartych.

Tom przynosi oczekiwany z niepokojem biogram Mikołaja Sępa Szarzyńskiego – poety. Nie wiadomo: renesansowego czy barokowego. Spór w tej sprawie podzielił Polaków silniej niż ów wynikający z ogłoszenia przez Jacka Kurskiego rewelacji o dziadku z Wehrmachtu. Życiorys – jak wszystkie niemal drukowane w PSB – jest kanoniczny. Tym samym prócz szkolnych wiadomości niesie informacje o finansach poety. Ze szkół wynosimy na ogół wizerunki upudrowane lub uzłocone, a tu dostajemy krwiste obrazy sporów o łąkę, o kopce graniczne, awantury o wypożyczonych parobków, scysje z jakimś woźnym próbującym łązić Sępowi po obejściu, mamy jakieś groszowe nieporozumienia i wzmiankę o zakończonej sukcesem próbie wygnania z ojcowizny prawowitych spadkobierców. Taki to był poeta.

Zawsze w PSB można znaleźć kilku krakowian, a tym razem dostajemy ich wielu. Są krakowskie rodziny: Szarfenbergów – drukarzy, Szasterów – aptekarzy, ławników i rajców, no i Szarskich. Tych od Szarej Kamienicy w Rynku. Od niej właśnie wzięli swe nazwisko, gdyż wcześniej nazywali się Feintuchowie. Bardzo to zasłużona i wielka rodzina, w odróżnieniu od wymienionych wcześniej bardzo spokojna i nieawanturująca się, wręcz święta. Henryk Szarski był wiceprezydentem za czasów prezydenta Leo, czyli w okresie dla miasta najlepszym. Wśród licznych działań podjął wspaniałe dzieło utrzymania bezkoncesyjnego handlu piwem. O czym akurat nie wiedziałem. Takich to mieliśmy ongiś prezydentów. Czujących dla ludu i biznesu. Nie to co dziś.

W najnowszym tomie PSB występują też oboje państwo Szapiro, rodzice Hanki Sawickiej. Komunizowali sobie na całego w poświętym mieście Krakowie. Z sukcesami, można by rzec. Tu przyszła na świat owa córuchna, w mieszkaniu, które znam, w którym powielali i konspirowali. Znam to miejsce, bo to wciąż małe miasto.

Z powodów językowych zwrócił moją uwagę życiorys jednego z członków barwnej rodziny Szaszkiwiczów. Antoniego. Autorzy PSB piszą o nim: uczestnik powstania listopadowego, poeta ukraińsko-polski i bałagula. Bałagula? Niby jest w biogramie wyjaśnienie, że bałaguli (bałagulowie?) byli żydowskimi artystami w powożeniu czterokonnym zaprzęgiem. Onże, ten Szaszkiwicz, tak się do tego powożenia zapalił, że został w tym mistrzem na wieki wieków, o czym pisze PSB w wieku XXI. Szaszkiwicz zwany jest dalej „królem bałagulów”, czyli tym samym przywódcą nieformalnego ruchu młodzieży, ruchu chyba artystycznego. Ślicznie bowiem śpiewał i recytował. Ruszyłem do moich słowników. Linde o bałagulach nie wspomina. Słownik tzw. warszawski Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego owszem. Na wszelkie sposoby odmienia to słowo. Bałagula to może być i bryka, i wóz pocztowy, i furman zawadiaka, i dzwonek koński, no i właśnie postępowiec ukraiński z roku 1840.

Bałagulstwo to też coś w rodzaju młodzieżowych wybryków, określenie złego wychowania, braku zasad i wykształcenia. Jest i chód bałagulski – specjalny sposób teatralnego poruszania się z zadartą głową. Jaki więc był ów Szaszkiewicz? To musiał być wesoły człowiek, po prostu.

Na koniec słówko o Stanisławie Szaniawskim, pewnym krajczym koronnym. Osobnika tego współcześni mu określali jednoznacznie jako „niemającego własnego zdania, o naturze małej i temperamencie skąpym”. Pan ten był „cieńki a długi, głowę miał małą, a czuprynę podgoloną, zawsze ślicznie po polsku ubrany”. Ze swym bliskim znajomym bardzo „po polsku żyli, z rana przesiadywali w kościele, po obiedzie ćwiczyli się w mariasza”. Mieszkał na rogu Grodzkiej i Senackiej. Otóż ten zwykły obywatel Rzplitej dnia 23 maja 1787 roku podjął w Sobkowie śniadaniem króla Stanisława Augusta, a już cztery lata później został kawalerem Orderu Orła Białego. To były czasy dla zwykłych ludzi.